ROK TRZECI.

№ 44.

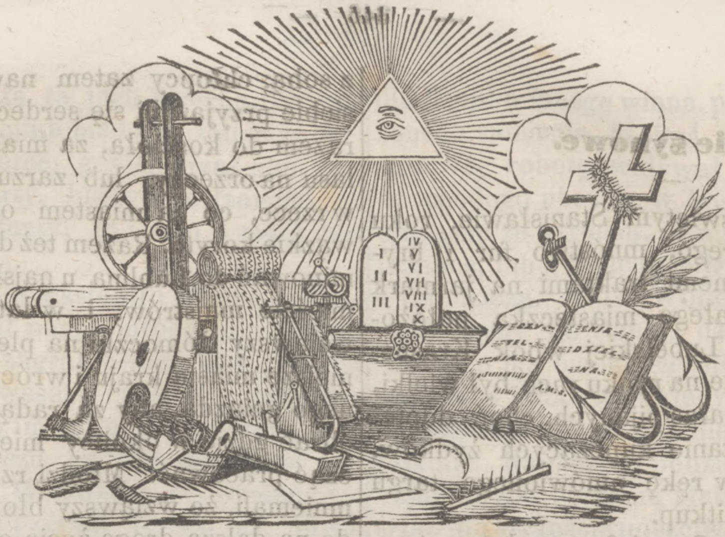
Warszawa

Dnia 19 (31) października

1858.

Niedziela

23cia po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rss. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty á Paulo)..

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! wyzwól lud Twój z kajdan występków, iżbyśmy, będąc oswobodzeni z więzów grzechowych, nazawsze z Twego miłosierdzia wolnymi byli. (Kollekta na niedzielę 23cią po Świątkach).

Suplikacye.

Ty! co królując na wysokiem niebie,
Ogarniasz padół miłosierdzia wzrokiem,
Ojcze nasz wspólny! wołamy do Ciebie,
Ach! racz się wzruszyć trosk naszych widokiem.
Oto Cię wspólnie wzywamy ze łzami:
„Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!“
W Tobie jedynie nadzieja jest nasza,
Bez Ciebie nędza uciśnie nas sroga,
Tłum Twoich dziatek we łzach Cię uprasza,
Któż je wspomoże?— wołajmy do Boga.
Broń nas Twą władzą, wysłuchaj wołanie:
„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Wybaw nas Panie!“
Twoja moc święta życiem naszem rządzi,
A głos skruszonych do Ciebie przenika,
Sędzio najwyższy, gdy które z nas zbłądzi,
Racz miłosiernie wejrzeć na grzesznika.
Przed Twem obliczem któż bez winy stanie?
„Od nagłej a niespodziewanej śmierci,
Zachowaj nas Panie!“
Kiedy nas w życiu różne troski gniotą,
Widzim Twą łaskę, co jak gwiazda świeci,
Ty rózgę kary porzucasz z ochotą,
Aby z miłością przytulić Twe dzieci.
Nadzieja nasza w Tobie nie ustanie:
„My grzeszni Ciebie Boga prosimy,
Wysłuchaj nas Panie!“
O Zbawicielu! któryś krzyż i mękę
Chętnie ponosił dla całej ludzkości,
Trzymaj nad nami Twoję świętą rękę,
I pobłogosław nam w swojej litości,
Zasłoń nas, zasłoń Twojemi ranami,
„Jezu przepuść, Jezu wysłuchaj,
O Jezu, zmiłuj się nad nami!“
Ty! której prośba Wszechmocnego kruszy,
Fórto niebieska i łaski naczynie!
Niech prośba nasza przeniknie Twe uszy,
Racz na nas wspomnieć w twej górnej dziedzinie:
Broń nas, ach—broń nas przed życia ciosami,
„Maryjo uproś, Matko przebłagaj,
O Maryjo! przyczyń się za nami!“

Dwie synowe.

—

We wtorek po świętym Stanisławie, roku nie pamiętam którego, mnóstwo fur i bryczek zdążało różnemi traktami na jarmark do Gorzkowa, małego miasteczka położonego w gubernii Lubelskiej wbok Krasnegostawu. W mieście na rynku ruch był wielki, gwar, ryk bydła, hałas pijanych, choć dopiero ranek, szwargotanie kupczących żydków, przybijanie ręka w rękę umówionego targu i proszenie się na litkup.

— Jak się masz Grzesiu? zawołał majster szewcki zpod wystawy, do przechodzącego mieszczanina.

— A! Wojtuś, krzyknął zawołany i obaj uściskali się serdecznie po razy kilka.

— I jakże wam idzie na dzisiejszym jarmarku, czy jak zawsze, pytał Grześ Wojciecha, stawiając nogę na kłodzie leżącej przy wystawie.

—Bogu Najwyższemu dzięki—a wam Grzesiu?

— Nieźle—wyprawiłem sto skór, odpowiedział i wszystkie z zarobkiem sprzedałem, i brzęknął majster po kieszeniach napełnionych srebrną monetą, poczem znowu się uściskali. No Wojtku, dodał, po starej znajomości choćmy napić się i pogawędzić na ustroniu, może mi potem lżej będzie, bo mam wielką ciężkość na sercu.

Wojciech na wezwanie Grzesia, zaleciwszy czeladnikowi, by pilnował towaru i nie dał się oszukać w przedaży, poszedł z dawnym znajomym na poczęstunek do oberży.

Wojciech z Grzegorzem zasiedli w osobnej izbie za stołem, kazawszy sobie postawić wódkę słodką, butelkę porteru, kiełbasy z kapustą i przy gawędzie zajadali i zapijali. Zostawmy ich, niech zdrowi pożywają, a ja wam opowiem, co to byli za jedni.

Wojciech, ów w szafirowej kapocie, zwał się Gorajskim i był szewcem w Żółkiewce, dwie milki od Gorzkowa odległego miasteczka, a Grzegorz nazywał się Goliński, i był garbarzem w Gorzkowie, gdzie wyprawiał najsubtelniej skórki wszelkiego rodzaju. Obaj byli rodem z Piask Luterskich, od dni małych znali się, bo domy ich rodziców stykały się z sobą; chłopcy zatem nawykli odmłodu do siebie przyjaźnili się serdecznie. W święta szli razem do kościoła, za miasto na spacer, do lasu na orzechy, lub zarzucali wędki na ryby w rzece, co za miastem około młyna toczy wązkie koryto. Razem też dorosłszy, poszli terminować do Lublina u najsławniejszych w tem mieście majstrów, i w lat kilka wyzwoleni, wziąwszy tłómoczki na plecy, obiegli znaczniejsze miasta kraju i wrócili do Piask, rodzinnego gniazda, aby za radą rodziców swoich obrać gdzie w okolicy miejsce i na siebie począć pracować. Młodzi rzemieślnicy słusznie mniemali, że wziąwszy błogosławieństwo i radę na dalszą drogę życia od nich, łacniej im będzie pracować i walczyć z przeciwnościami jego, że wtedy tylko na ich progach zagości pokój, swoboda i dostatek. Lecz Wojtek zastał tylko starą matkę, a Grześ ojca. W Piaskach dłużej jak myśleli, zatrzymały ich okoliczności i miłość do czarno-okiej Kasi córki organisty; kochał ją Wojtek całem poczciwem sercem, kochał i Grześ niemniej serdecznie. Znali to obaj, raz też Grześ zapytał Wojtusia:

— Kochasz Kasię?

— Tak, śmiało odrzekł—i ty Grzesiu kochasz ją, nieprawdaż?

— O, i bardzo, odpowiedział ze szczerotą chłopak—i otóż Wojtku, dodał po namyśle, żeby nam krzywdy nie było, żeby jeden do drugiego żalu w sercu swojem nie chował, pójdziemy razem i niech między nami wybiera.

Tak i zrobili. Gdy podchodzili pod kościół, gdzie wdowiec organista mieszkał z piękną Kachną, zakołatały im straszliwie serca w piersiach; przyszedłszy, Grześ śmielszy rzekł do organisty:

— Przychodzimy do was prosić o rękę waszej córki, bo kocha ją Wojtek, kocham i ja niemniej serdecznie—niechże między nami wybiera i powie, który jej milszy?

Skraśniała na te słowa twarz ślicznej Kasi, a ojciec odpowiedział:

— Niech wybiera, mnie tam wszystko jedno, bo jak jeden, tak drugi miły sercu memu, boście oba dobre chłopaki. No, mów, rzekł po chwili milczenia do zapłonionej córki, która ze spuszczonemi oczyma podała rękę Grzesiowi, a ten aż drgnął z radości, uściskał jej rękę, i skłonił się sędziwemu ojcu.

Ale niedługo trwała ta jego uciecha, bo jak wspomniał na Wojtka niedolę, żalem zabiegło mu poczciwe serce; gdy spojrzał nań, jak stał o ścianę oparty, blady i ze łzawem okiem, prawie bez duszy, to i sam o mało nie zapłakał.

We trzy tygodnie nastąpiło wesele, Wojtuś blady prowadził pannę młodą do ołtarza, a gdy ojciec Kasi zagrał *venicreator*, znikły mu zprzed oczu weselni goście i państwo młodzi i ksiądz, co im stułą wiązał ręce, bo łzy nabiegły do oczu i strugą spadły na kościelną posadzkę. W tydzień po weselu jechał Grześ z żoną i ojcem swoim na nową siedzibę do Gorzkowa, gdzie założył garbarnią w domu, który wziął w wianie za żoną.

Wkrótce i Wojtek udał się ze starą matką do Żółkiewki, by tam założyć warsztat szewcki, i zacząć pracować na siebie i matkę. Najął mieszkanie, które mu ona pobłogosławiła, a proboszcz miejscowy poświęcił. Śmiało wtedy wziął Wojtek szydło do ręki, i szło mu dobrze, bo kto z Bogiem i Bóg z nim. Robił bóty księdzu proboszczowi, wikaremu, a pani burmistrzowej i jej córkom zgrabne trzewiczki. Gdy zaś dalej sława jego poza obręb Żółkiewki się rozniosła, robił i na okolicę najpierwszym elegantkom, tak, że wkrótce w kuferku znalazło się kilka set złotych gotówki.

Gdy tak pracując uczciwie, niebawem grosiwa uzbierał, gdy miłość dla pięknej Kasi wywietrzała mu z głowy, zaczął myśleć o towarzyszce życia, bo samemu smutno było jakoś na świecie. Łatwy miał w tem wybór, bo uczciwym, pracowitym Wojtkiem niepogardziłaby najbogatsza mieszczka w Żółkiewce. Ale Wojtek nie szukał majątku, ufał sobie, że zdoła wyżywić żonę i zapracować na jej byt niezależny, a nie chciał, by mu wyrzucała, że co ma, to ma z niej. Każdy bowiem człowiek, czy pracowity majster, czy kmiotek ubogi, zarówno czuć powinien godność swoją, i że jest zbyt nie pochlebnem dla mężczyzny być winnym wszystko żonie, kiedy on ma zdrowe ręce i głowę na karku, chęć do pracy, a przed sobą świat szeroki, a na tem pięknem świecie tysiące sposobów do zarobienia na kawałek chleba.

Mając to przekonanie, zrobił Wojtek wybór ze służącej pani burmistrzowej, hożej Hanki, sieroty, która nie miała bogactw, nie miała dla Wojtka innego wiana, prócz cnoty i nieskażonego sumienia. Wojtuś nosząc do p. burmistrzowej robotę, widywał ją zawsze przy pracy chędogo ubraną, w kościele na mszy modlącą się ze skruchą, a nigdy w szynku, na hulance, lub wdającą się w nieprzystojne żarty z młodzieżą. Gdy Wojtek przyszedł w oświadczyny do Hanki, dziewczyna zdumiała się, że o nią biedną sierotę prosi najpierwszy majster w Żółkiewce, kiedy o niego ubiegają się najbogatsze dziewczęta nietylko z miasta, ale i okolic. Najpierwej podziękowała Bogu, ślubując przed obrazem Matki Najświętszej żyć tylko dla szczęścia poczciwego Wojtka. A swej pani dziękowała za dobre nauki, które wskazały jej drogę, która wiedzie do nieomylnego szczęścia. Pani burmistrzowa głaszcząc rumiane policzki młodej narzeczonej, rzekła:

— Tak, moja luba Hanko, byłaś dobrą wierną, uczciwą, pracowitą, a takie cnoty Bóg ludziom nagradza, a teraz zaś pamiętaj żyć dla szczęścia twego męża, który cię bierze ubogą. Pracuj z nim razem uczciwie, szanuj jego starą matkę, a Bóg w tem nowem życiu, które przed tobą się otwiera, pewno ci pobłogosławi. I dobra pani wyprawiła jej sute wesele, gdzie do błogosławieństw starej Małgorzaty matki Wojtka, dołączyła swoje z podarkiem ślubnym.

Hanka wchodząc w dom męża, zastała dostatek: trzy czysto umiecione stancyjki usypane tatarakiem, z obrazami świętych, w obórce ładne dwie krówki, w spiżarni zapasy, a na progach mieszkania Wojtusia czekało nań szczęście, które Bóg przekazał młodej małżonce za życie w pracy i trudzie spędzone, ale cnotliwie bez utyskiwań, z ufnością i wiarą w Tego, w którego ręku są ludzkie losy. Z wejściem Hanki w progi poczciwego Wojtka na licach jego czytałeś niewysłowione szczęście i swobodę. W rok ujrzał się ojcem zdrowego chłopaka, któremu dał imię ojca swego Walentego.

O! w ręku kobiety jest szczęście domowe mili bracia moi; czy to w ubogiej kmiotka siedzibie, czy pod strzechą pracowitego rzemieślnika, czy u rolnika, co rodzinną skibę orze, czy w złoconym pałacu doczesnego bogacza, wszędzie trzeba anioła kobiety, którą miłuje Bóg, miłują ludzie, bo ona zaszczytem, ona jest chwałą rodu ludzkiego.

I Hanka uboga, prosta dziewczyna nie miała wykształcenia, ale miała tkliwe i poczciwe serce, i chatkę rzemieślnika zamieniła w raj ziemski, bo w niej zamieszkała miłość, która tam gości, gdzie dwoje małżonków pracując wspólnie, jedno drugiemu pot pracy z czoła obciera i znowu z miłością idą wspólną drogą żywota i nie czując jego ciężarów.

Inaczej było u Grzesia. Choć począł gorliwie pracować i zabiegom uczciwym Bóg błogosławił, ale nie był jak Wojtek szczęśliwy. Katarzyna była piękna, ale złośnica, uparta, a gdzie taka kobieta jest w domu, niema tam szczęścia, tylko niesnaski, kłótnie, przekleństwo, a mąż ofiarą, do którego nie uśmiechnie się szczęście, swoboda ucieka—i wtedy milszy mu dach obcy niż własny, milszy obcy, co mu się przyjaźnie uśmiechnie, niż żona, co mu zawsze chmurne okaże oblicze, i słowami gniewu na progu powita. Biada! stokroć biada, kto taki wybór zrobi.

Katarzyna raniła ciężko serce męża obchodzeniem się z ojcem jego, którego wziął do siebie, aby zapewnić mu spokojną starość i wygody życia za trudy wychowania. I Grześ choć dobry, pracowity, w robocie rzetelny i umiejętny, stawał się niekiedy, gdy mu złość żony dopiekła, popędliwym, zaniedbywał się w pracy, bywał przez to niesłowny i tracił kredyt. Niekiedy nawet przez naganną słabość charakteru, bo człowiek winien być zawsze wyższym nad niedolę, szedł do karczmy i wódką zatłumiał w sobie zgryzotę, co mu toczyła serce. I to źle bardzo robił bracia mili, bo jakąż to zasługę będziemy mieli w oczach nieba, jeżeli z męstwem nie potrafimy dźwignąć krzyżów żywota, i jak Zbawiciel z pokorą ramiona pod nie uginać?

Grześ siedząc za karczemnym stołem, wlawszy jeszcze w głowę smutkiem zamąconą parę kieliszków wódki słodkiej i parę szklanek porteru, rozwodził żale przed przyjacielem:

— Tak mój Wojtku, mówił biedak ze łzami w oczach, niemiły mi ten świat, bo w chałupie nie ma spokoju; przyjdę doń po pracy, hałas, przekleństwo, obraza Boska. A ojczysko, mówił dalej, tłumiąc łzy, co mu się darły gwałtem do oczu, zamiast spokoju, słyszy tylko przekleństwo i patrzy na moję straszną niedolę. A gdy raz sunęła wzgardliwie mu na stół miskę ze strawą, to już wtedy nie utrzymałem ręki przy sobie i podniosłem ją—Grześ mówiąc to zasłonił oczy, jakby się postępku swego wstydził. A Wojtek bolejąc nad przyjacielem, w skrytości ducha dziękował Bogu, że nie jemu dostała się taka złośnica i myśl swoją przesłał ku lubej Hance, co z taką ochotą usługuje jego matce, pamięta o jej wygodzie i nie wywołała ani raz z ust jej skargi, nie wycisnęła łzy z oczu, nie sponiewierała obelżywemi słowy jej niedołężnej starości—wreszcie po chwili rzekł do Grzesia:

— Moja Hanka, jak żyjemy z sobą już lat dziesięć, nie zraniła mi serca przykrem słowem, a matulę kocha jak rodzoniuteńką. Ona nieraz, gdy co dobrego przyrządzi, to sama nie je, a gdy jej to ganię, mówiąc, że póki mi rąk stanie do pracy, nie będzie brakowało kawałka chleba w domu, to śmiejąc się i głaszcząc mnie po twarzy, odpowiada: mój Wojteńku, ja młoda, zdrowa, szczęśliwa przy tobie, zjem byle co, a ty pracujesz, a matula stareńka niepodoła byle czemu, to dla niej schowam. Wtedy Grzesiu rozpływa mi się serce w uciesze, wtedy, mówił Wojtek w zachwycie, mówię sobie: Boże, Boże, co ja takiego zrobiłem, żeś mi w nagrodę dał Hankę za towarzyszkę.

Grzesia żal ścisnął na ów uroczy obraz domowego szczęścia Wojtusia i wychylił na przytłnmienie żalu jeszcze kieliszek tęgiej wódki, i dalej mówił:

— To też Wojtku, odtąd, kiedym nań rękę podniósł i obił za krzywdę rodzica, już na nią patrzeć nie mogę; gdyby nie dzieciska, to poszedłbym w świat już dawno, zabrawszy z sobą tatula, ale żal mi serdecznie biedaków z taką piekielnicą zostawić, żal serdeczny, i Grześ rozpłakał się, że aż Wojtkowi łzy pociekły strugą.

Nakoniec uściskali się serdecznie i rozeszli, Wojtek poszedł pod wystawę, Grześ podchmielony włożywszy na bakier czapkę, roztrącał ludzi w karczmie, wołając, by się ustępowali; na ulicy wykrzykiwał, gubił po drodze pieniądze, a wpadłszy do domu, gdy go Katarzyna łajaniem przywitała, jak tupnął nogą, stając przed nią, zgrzytnął zębami i zamierzył się pięścią, to aż uciekać musiała.

Po rozejściu się z przyjacielem Wojtek zbywszy resztę towaru, poszedł na miasto, aby dla Hanki kupić od wędrującego węgra korali, których oddawna pragnęła. I przenocowawszy w Gorzkowie, skoro świt ruszył do domu.

Jak zwykle Hanka wybiegła na jego powitanie, lecz nie z tą twarzą promieniejącą radością, z jaką go zawsze witała wracającego z podróży, tylko ze łzami i z załamanemi rękami ujrzał ją Wojtuś na domowym progu i struchlał cały.

— Oj Wojtku, mówiła, płacząc, matula nam wczorajszej nocy zachorowali, i już chcą księdza, i Hanka zarzuciwszy ręce na szyję męża, twarz łzami zalaną uskryła na jego piersi.

— Moja Hanko, mówił, tuląc ją w płaczu, wszak-ci Bóg w niebie, a na ziemi nic się nie dzieje bez Jego woli, i Wojtuś oczy łzami zwilżone zwrócił ku jasnemu niebu z wiarą i poddaniem, i pobiegł do izby, gdzie matka jego już prawie martwa leżała, a usłyszawszy głos syna, podniosła ociężałe powieki i wyrzekła.

— Dobrze, żeś przyjechał, mój miły synu, bo widno, że mnie już Bóg woła ku sobie, a mój Waluś czeka tam u wrót niebieskich.

— Wojtku miły! posyłaj po doktora, bodajby za to, że przyjedzie, oddać mu całą naszą chudobę, ale niech on matulę nam uratuje. Oni tam znają różne leki, pani burmistrzowa już prawie umierała, a jak doktór przyjechał z Lublina, to zdrowiuteńka wstała.

Wybiegł Wojtek na miasto po konie, aliści dowiedział się, że doktór jest we dworze—skoczył tam coprędzej i po chwili sprowadził go do siebie.

Siadł lekarz przy łożu umierającej, której puls ustawał stopniowo pod jego palcami, a poczciwa Hanka wlepiła weń oczy, jakby błagała o promyk nadziei. Ale doktór głową kiwnął, a gdy Wojtek naboku zapytał o stan chorej, odpowiedział:

— Mój przyjacielu, już tu doktór nie poradzi, przyszedł czas i umierać musi; zgodź się z wolą Boga i z przeznaczeniem ludzkiem.

Hanka to usłyszawszy, wyciągnęła doń ręce i rzekła w płaczu do doktora:

— Ratuj ją panie, ratuj — doktor dla jej zaspokojenia kazał po lekarstwo przyjść do dworu.

Lecz ani starania, ani modły, nie mogły starej Małgorzaty uratować. I duch jej zpod skromnej strzehy uleciał. Płacz rzewny rozległ się w ubogiej rzemieślnika izdebce. Zbiegli się sąsiedzi, aby strapionych pocieszyć. Chcieli zabrać i odłączyć od zwłók zmarłej Hankę, ale ta nie dała się wyprowadzić.

— Nie, nie, mówiła do sąsiadki, która jej miejsce przy ciele zastąpić chciała, dziękuję wam moi mili, aliści nikt tu jej nie odda ostatniej przysługi, tylko ja jedna, boć tak być powinno. Wychowała mi ona Wojteńka lubego, z którym ja szczęśliwe pędzę godziny, niechże ja ją na śmierć sama ubiorę i w trumnę choć za to włożę.

I młoda kobieta rzuciła się na szyję płaczącemu mężowi.

Niech was nie dziwi czytelnicy tak wielkie Hanki przywiązanie do matki mężowskiej; wiedziała ona, co wiedzieć każda niewiasta powinna, że kto kocha męża, kocha i jego rodzinę. Kto z nim podzieli się sercem, podzieli i z jego matką i ojcem starym, utuli ich przy własnem sercu i własną ręką złoży w cichy domek, w którym wygodnie czekać będą strasznego sądu, kiedy trąba archanioła otworzy wieka grobowców i głos Boga powoła cnotliwych przed oblicze swoje.

(Dokończenie nastąpi).

O jaskółkach.

(Dokończenie, patrz nr. 38 Cz.).

Jaskółki owe pamiętały dobrze to okno, i codziennie wlatywały, gdy je otworzono, wyłapywały wszystkie muchy i znowu odlatywały. Nadszedł termin odlotu, powędrowały z innemi. Lecz następnej wiosny pewnego poranku trzepocze jaskółka przed oknem, domagając się wpuszczenia. Gdy jej otworzono, wleciała, okrążyła cały pokój, siadła na ulubionem miejscu i zaczęła nucić wesołą pieśń przybycia. Gdy raz zapomniano wypuścić jaskółkę z pokoju, wybrała sobie miejsce do spania na szafie, i już zawsze na noc zostawała w pokoju. Z początku raziło ją światło zapalonej świecy, latała więc i o ściany się tłukła, lecz się i do tej nowości przyzwyczaiła. Po tygodniu przyprowadziła drugą towarzyszkę, i ta po długich ceremoniach wleciała do pokoju, i usiadła skromnie przy pierwszej, garnąc się pod jej opiekuńcze skrzydełka.

W czasie słot zimnych jaskółki nie wylatywały z pokoju, ale w nim dostawały potrzebny posiłek z much, ćmów, motylów, pająków, lub liszek i mrówek. Te dwie lokatorki zacnego doktora były dobraną parą, i wkrótce zaczęły myśleć o robieniu gniazdeczka. Lecz miejscowość była temu na przeszkodzie, bo pokoje wyklejone były obiciami, a futryny okien olejno pomalowane, były za gładkie i błoto na nich utrzymać się nie mogło. Co przylepiły bryłkę błota i poleciały po drugą, już pierwsza spadła na ziemię. Biedne ptaszyny już miały opuścić ten gościnny dach; smutnie nucąc siadają na szafie i spoglądają na swego dobrodzieja, czy też on nie ma dla nich ratunku? Umiał zaradzić tej biedzie jaskółek sławny ornitolog, i odłupawszy w stajni opuszczone przeszłoroczne gniazda, przylepił kilka na desce i postawił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do reperacyi i dalszej budowy gniazda, w którem niedługo samiczka rozsiadła się na 5ciu jajeczkach. Samiec rozkosznie nucił swe szczęście, a rano budził śpiewem swego dobroczyńcę i pukając w okno, prosił o wypuszczenie. Dziwnie ta ptaszyna przywiązała się do swego pana; w niedalekich spacerach towarzyszyła mu, albo wylatywała naprzeciw niego, wołając: *diwitwitwit*, a krążąc nad nim, okazywała mu swe przywiązanie.

Często krył się Thienemann po winnicach i gęstwinach, a jaskółeczka tak długo szukała, aż go znalazła. Gdy szedł do miasta, jaskółka odprowadzała go, pozdrowiła i wracała do swego gniazda, godzinę powrotu doskonale pamiętała i wylatywała naprzeciwko. Gdy czasem zamyślony nie zważał na pieszczotliwe ruchy przywiązanej ptaszyny, wtedy nad samą głową jego trzepotała się, okrążała go i dopiero gdy na nią zawołał, uspakajała się i naprzód leciała do pokoju, a siadłszy na ulubionem miejscu, śpiewem przyjmowała swego pana. W czasie zatrudnień w winnicy lub ogrodzie, jaskółka przylatywała, a usiadłszy blisko, nuciła mu piosenkę; nawet latając z innemi towarzyszkami nad wodą lub pod obłokami, gdy ją tylko zawołał, przylatywała do niego, okrążyła kilka razy, pozdrowiła i znowu bujać poleciała.

Trzeciego roku w końcu kwietnia Thienemann słyszy znanę mu *witwit* głośno powtarzane, i wkrótce z gromady jaskółek przelatujących, pędem strzały spuszcza się przywiązana ptaszyna ku niemu, dając dowody swej uciechy i pamięci. Sroga i zimna wiosna w tym roku zniszczyła krocie ptasząt na wędrówce będących; zdaje się, że i ta jaskółka straciła swą towarzyszkę w tej wędrówce. Napróżno biedny wdowiec szukał tego lata towarzyszki życia; co którą wprowadził do pokoju, pokazał jej gniazdeczko, pieszczotami zapraszał, spłoszona ulatywała i już wrócić nie chciała. Tak więc biedny samczyk spędził lato samotnie, ciesząc się wyłącznie przywiązaniem swego dobroczyńcy.

Gdy ku jesieni jaskółki się gromadziły, nasz wdowiec codzień się z niemi łączył, codzień wprawę lotu odbywał, aż wreszcie jednego dnia przyleciał nad wieczorem, śpiewał długo i smutnie, siedząc na jednem miejscu, a gdy słońce chyliło się ku zachodowi, okrążył Thienemana, wyleciał przez okno i powędrował w dalekie kraje.

Roku 1844 na wiosnę puka do okna jaskółka i trzepocząc skrzydełkami, daje dowody swej radości. Gdy tej lubej ptaszynie otworzono okno, wszystkie kąciki obleciała, wszystkich pozdrowiła, wszystkich do łez rozczuliła i poleciała w świat za interesami. Cała rodzina Thienemana tylko o jaskółce mówiła. Wreszcie powróciła do pokoju, lecz tej wiosny częściej wylatywała i dłużej w tych wycieczkach bawiła. Badacz przyrody poznał tę odmianę w samczyku, który w tym roku szukał towarzyszki życia—znalazł ją wkońcu, lecz ta wychowana pewnie w stajni nie w pokoju, nie chciała przyjąć gniazdeczka pokojowego, przekładając swe dawniejsze, a samczyk nie mogąc przełamać uporu swej towarzyszki, za nią pociągnął. Ta para wyprowadziła pięcioro młodych, samczyk przybywał zawsze do swego pana, nawet z dziatwą do pokoju zalatywał; wreszcie jednego wieczora cała rodzina długo śpiewała, a jak słońce zachodzić zaczęło, wszystkie ptaszyny rwały się na dwór, zdaje się, że rozkaz do marszu był wydany. Zrozumiała to rodzina Thienemana, wszyscy posmutnieli, z obawy, by nie utracić tej przywiązanej ptaszyny. Przeczucie ich było prawdziwe, żal sprawiedliwy, bo na wiosnę roku przyszłego daremnie szukano po domu i stajni miłej towarzyszki,

już piątego roku nie przyleciała. Powróciły inne, lecz napróżno otwierano okno, puszczano muszki; nie było już między niemi tej, która lat kilka była rozrywką sławnego naturalisty.

Mleczne matki.

Rok rocznie w pierwszych dniach miesiąca lipca, dostrzegać się daje na placu przed Instytutem Dzieciątka Jezus znaczna liczba wozów wiejskich przepełnionych dziećmi, po większej części niemowlętami, oraz kobiet ze wsi pobliskich z odchowanemi już sierotami piesz przybyłych.

Nieraz zapewne przechodzący tym placem mieszkańcy miasta, zatrzymywali uwagę swoję nad tym konwojem sierocym, odgadywali cel jego i potrzebę.

Oddawane na wsie na wykarmienie dzieci, jedne przez ustanowioną ze strony administracyi szpitala opiekę doglądane bywają na miejscu, inne znowu dowożone są do Warszawy, aby przed zwierzchnością Instytutu poświadczyć troskliwość rozciąganego nad niemi dozoru przybrane zaś ich matki; oprócz odbioru należności wynoszącej rocznie rs. 18 za wykarmienie każdej sieroty, która im w ratach kwartalnych płaconą bywa, to jeszcze znajdują ułatwienie, że staraniem Instytutu dowiezionym dzieciom szczepioną zostaje ospa ochronna.

Swiąteczne, różnobarwne i rozmaitego kształtu, ale czyste i schludne ubranie sierot w tym roku przybyłych, nadewszystko zaś świeże, pełne wyrazu i życia ich twarzyczki, dały przekonanie, jak dalece przyswojone, słynne kraju naszego macierzyńskie cnoty, w prostym nawet ludzie, skoro pod opieką tych wiejskich kobiet istoty porzucone w najtrudniejszym warunku życia, zdrowo i z zaspokojeniem wszelkich potrzeb są wychowywane.

Z okazyi tego dziecinnego zjazdu wypłacane również bywają należności za utrzymanie dzieci już wykarmionych, dochodzące do rs. 9 rocznie, a nadto odbierane są deklaracye od osób je utrzymujących, czy takowe nadal pozostawiają, lub też powracają Instytutowi.

Z pociechą serca przyznać należy, że większa część sierot znajduje dalszy przytułek w domach mlecznych swoich matek, aniżeli zwracaną bywa. Zdarzają się jednak wypadki, że nieprzyjazne okoliczności pomimo najlepszych chęci nie dozwalają wywiązać się czasowym tym opiekunóm z ich zadania, wówczas sam Instytut zajmuje się dalszym wychowaniem sierot.

Rozdział ten wszakże nie rozwiązuje zwyklesłodkich węzłów jakie owa przybrana matka zawiązała względem wykarmionej własną piersią, a okolicznościami z nią rozłączonej istoty, ani zmniejsza przywiązania do niej w dziecięciu; a jak ta miłość serc do siebie nawykłych jest trwałą, jak żal i tęsknota serdecznemi, przekona następna rozmowa zanotowana z wiarogodnego opowiadania i towarzyszące jej zdarzenie, które miało miejsce właśnie w porze, gdy jedna z przybyłych kobiet, znajdując się w niemożności dalszego zazatrzymania przy sobie sieroty, pośród łez wzajemnych żegnała wychowankę lat 6, zostawiając ją nadal w Instytuciu.

—Co ja moja Łukaszko, rzecze włościanka zpod Jabłonny, nazwiskiem Maciejowa Chruściak, do siedzącej obok siebie znanej w gminie całej z dobroci serca i trafnego porządku Łukaszowej Wydrychowskiej, to już nigdy z moją Magdulką rozstać się nie myślę, choćby mi Bóg dał suchy chleb jeść do śmierci. A to dziw, że serce nie pęknie, jak się patrzę, kiedy te sieroty, co na biedę na świat przyszły i własnych ojców nie znały, zmaleńka zaraz czuć muszą zgryzotę ich utraty — a jak też człek wspomni na ten żal okrutny, jakiego się dozna, kiedy przyjdzie zostawić w klasztorze dziecinę, co się własną wykarmiło piersią, to aż dreszcz śmiertelny przechodzi i wolałabym już nie brać i żadnej u Boga nie mieć przez to zasługi, aniżeli raz wziąwszy, znowu ono niebożę porzucać.

Albo to nowinę mi mówicie, moja Maciejowo, odrzecze Łukaszka, przerwawszy sobie piosnkę: *rośnij że mi rośnij* złożonemu na kolanach dziecięciu nuconą. Ot niedawno rok minął na Śty Wojciech, jak mąż mój klekocząc mi głowę: że drożyzna, nieurodzaj, własne dzieci trudno wyżywić, a ja jeszcze szpitalne trzymam, wymógł, żem naszego Jaśka, coście go znali przecię napowrót do Dzieciątka od-

wiozła i dotąd go jeszcze nie widziałam. Wiem ja dobrze, co sie wtedy w sercu działo i jaka głuchota bez niego została w chałupie; przez tydzień tośmy myśleli, wie Bóg co się stanie. Burek przecię stare psisko, któremu jeść podawał, po całych nocach wył, aż mąż mój zmarkocony silnie, zaczął mię prosić, żebym do Warszawy pojechała i Janka napowrót przywiozła. Zaraz też z tego pozwoleństwa korzystałam, ale było już zapóźno; kto inny wziął go na opiekę dla nauki rzemiosła i jest tu w Warszawie. Przywiozłam dla niego trochę masła, sera i chleba i żeby mi przyszło całe miasto wzdłuż i wszerz obejść, to go chudziaka odszukam i do serca przytulę."

Na co macie szukać w niewiadomości moja Łukaszko, zapytajcie się w kancelaryi, to wam powiedzą, u kogo on jest, na jakiéj ulicy i pod którym numerem; tam mają każdą sierotę opisaną w wielkich księgach i wiedzą wszystko, co ona robi i co się z nią dzieje.

W chwili, kiedy poczciwa Maciejowa daje dobrą radę Łukaszce i dzieli jéj kłopot, z rogu ulicy Wareckiej wybiega chłopczyna w wieku lat 12 wesół i żwawy, a choć twarz jego posmolona i zawieszony skórzany fartuch, niezaprzeczone cechy rzemiosła, w którem się rzeczywiście kształcił, dawały niewątpliwe przekonanie, że tylko co oderwał się od pracy, z twarzy jednak jego swobodnej i ochoczej postawy, niktby tego się nie domyślał.

Podchodząc pod gmach szpitalny, przybyły rzuca się do nóg Łukaszowej, oblewa łzami radości jej kolana, a ta poznaje w nim swego ukochanego wychowańca, za którym tyle utęskniła i którego wybierała się odszukać.

Zasiadłszy przy nogach mlecznej swej matuli, Janek jakkolwiek zajęty przeglądem podanej mu z wiktuałami kobiałki, nie przepomniał troskliwie się dopytywać o pozostałego na wsi tatula, o ich dziatwę, o wołki, które pasał, o Burka, któremu jeść podawał, otrzymując od Łukaszowej kolejne na te zapytania odpowiedzi, zakończone serdecznem jej życzeniem, ażeby na wieś powrócił.

Mimo pokusy, Janek propozycyi tej odmówił; już bowiem korzyści rzemiosła dobrze pojmował, kojąc zasmuconą matulę tem, że jak na rok przyszły przyjedzie, to jéj da własnej roboty trzewiki, a potem jak duży urośnie i na czeladnika się wyzwoli, dzieci jej rzemiosła nauczy.

Łukaszka przyznała mu pracę, mówiąc, że i z rzemiosła chleb dobry, a często bielszy od naszego; niech ci więc Bóg moja dziecino i Panna Najświętsza w twojej pracy błogosławią.

Podobne przykłady wzajemnego przywiązania, jakie widzimy między sierotami i mlecznemi ich matkami, czyż niepowinno budzić zazdrości i poruszać serc tych lekkomyślnych rzeczywistych matek, które przez złe zrozumiany wstyd nie wahają się wyrzec prawdziwej roskoszy macierzyństwa, pieszczot wychowania i przywiązania własnych swych dziatek.

Od Redakcyi.

Od różnych dłużników wpłynęło do Kassy Rzemieślniczo-pożyczkowej, Założycielki Czytelni Niedzielnej. . rs. 117 kop. 94.
Ofiarowane na tenże fundusz od JW. A. Ł. (patrz numer 20 Czytelni z r. b.) . . . . „ 75 „
Ofiarowane przez J. J. za pożyczenie drzeworytu pomnika księdza Kordeckiego . . . . . . „ 12 „

Wpłynęło więc łącznie rs. 204 kop. 94.

Summa ta rozdaną została na nowe pożyczki, do zwrotu w ciągu roku jednego, z procentem 5% w czterech ratach kwartalnych z dołu, następującym osobom:

1. *Annie Smotrzyńskiej*, wdowie po urzędniku, na zakupienie sprzętów kuchennych do otworzenia procederu kucharskiego rs. 45 przy ulicy Kapitulnej, pod nrem 538.
2. *Tomaszowi Kierzkowskiemu* szewcowi, pod nrem 776 zamieszkałemu . . . . „ 45 „
3. *Stanisławowi Zgubowskiemu* fortepianiście, pod nrem 2464 zamieszkałemu . . . . . „ 45 „
4. *Kamilli Domaszewskiej* z pod nrn 1885 na założenie sklepiku . . . , ... „ 30 „
5. *Adamowi Czarneckiemu* szewcowi, pod nrem 758 zamieszkałemu . . . . „ 30 „

Wypożyczono więc łącznie rs. 195 kop.

Pozostaje w Kasie rs. 9 kop. 94.

Redakcya przytem nadmienia, że ci z PP. niezamożnych lub podupadłych rzemieślników, którzyby w przyszłości korzystać chcieli z pożyczek, zgłaszać się mogą do Redakcyi Czytelni Niedzielnej codziennie, w godzinach po południowych, od 4tej do 6tej.

Na budowę Kościoła i Klasztoru PP. Marjawitek od J. Z. złożono w Redakcyi Czytelni Niedzielnej 3 półimperjały, które zrealizowane po kursie rs. 5 kop. 45, czynią rs. 16 kop. 35.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 13 (25) października 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*